

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

# Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transle.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

6)

I taki ją wstręt ogarniał... że wszystko, co się z nią w tej chwili stało... było od jej myśli dalekie... a prześladowała ją tylko ta niepojmowana chęć obmycia się z owej cuchnącej posoki... której pełne było jej ciało... i wszystko, czem miała ciało okryte...

Ale co począć z sobą? Skąd wziąć wody... żeby się myć... godzinami myć... i obmyć z tej obmierzłej juchy!

Jej towarzysza, pośluczonego spadaniem ze schodów na schody, siedziała teraz na jakiejś beczce wysokiej i starała się trzymać nogi jak najwyżej, bo ją strach ogarniał, że szczury zaczęły ją gryźć.

Nie było okien, więc nie widziały nic. Ale powoli porozumiały się w swej rezygnacji.

Jenerałowa miała na sobie tyle odzienia, że mogła połowę odstąpić Izie, a w połowie pozostać.

Wtedy Iza zrzuciła z siebie wszystko krwią nasiąknięte – i nabierając garściami zlodowaciałego śniegu – starała się obmywać ze śmierdzącej mazi.

Naraz osłabienie w tej lodowatej kąpieli tak ją zmogło, że się z nóg zwała i w śnieg kolanami zaryła.

Zrozpaczona towarzysza po omacku próbowała ją cucić... i resztek sił używszy w napięciu woli – wyciągnęła ją nagą ze śniegu... i wlokła do góry na schody.

Wtem zgrzyt żelaza rozszedł się echem po sklepieniach piwnicznych... i smuga światła wpadła po schodach w głąb lochu.

Paru żołdaków stało w progu w drzwiach otwartych na podwórze i niecierpliwie nawoływało, by więzione szły natychmiast do śledziwa.

Zanim jenerałowa zdążyła przygotowaną połowę swych rzeczy osłonić obnażoną, już jeden ze zbiorów zbiegł po schodach i kolbą zaczął naglić ją do wyjścia.

I dopiero kiedy przy tem sam się krwią uwaliał, puścił swą ofiarę... A tylko wściekłość swą chcąc wyładować, w twarz jej plunął ze słowem: -- Burżujka!

Przyprowadzono obie kobiety do sypialni, gdzie właśnie odbywała się rewizja w lochu pod podłogą.

Na wszelkie pytania żadna z nich nie dawała wyjaśnienia... nie usprawiedliwiała się... nie tłumaczyła... mimo, że słyszały, jak w nie wmawiano winę wybuchu... zamordowanie „Czarnego dyabła”... ukrywanie w lochu całego arsenału jakiejś wielkiej organizacji rewolucyjnej...

Wśród gromady ludzi w mundurach wojskowych uderzył wzrok Izy ubiór cywilny. Poznała w nim człowieka, który do tego domu pierwszy przyniósł wiadomość o zgładzeniu Zygmunta.

Teraz komendant, odzywając się do niego, tytułował go redaktorem. Z tego wnosić należało, że człowiek ten u nowej władzy zajął jakieś ważne stanowisko w prasie oficjalnej.

Kiedy ci ludzie nad otwartym lochem przy rozbijanych kufrach rozprawiali coś na temat kontrrewolucyjnej organizacji, której siedziba miał być rzekomo ten dom, z ust redaktora padło głośne słowo:

– Biały sztandar...

Na to Iza ponownie wzrok podniosła na postać tego jedynego cywila między wojskowymi. Błyskawica przeleciała jej po głowie myśli, że stoi przed nią niewątpliwie sprawca tragicznej śmierci Edwarda.

Nie wiedziała, co się z nią działo... Uczuła tylko gwałtowną ochotę... rzucić się na tę figurę z czarną czupryną kędzierzawą... I już podniosła w jego stronę obie ręce... krwią umazane... jak jej całe ciało...

Ale naraz między nią a redaktorem stanął Edward.

Opadły jej ręce... Nogi się pod nią ugłębiły... i bezwiednie przysiadła na kupie gruzów.

Nic nie wiedziała, kiedy z powrotem znalazła się w lodowni wraz ze swą biedną towarzyszką... I nie wiedziała, na czem nplynęły jej godziny całego dnia.

Aż oto błękitna smuga poświaty miesięcznej wpłynęła do jej lochu około północy... i ze swego zimnego grobu wychodziła Iza po schodach...

przez wielkie drzwi żelazne... na podwórze skapanie w ciepłe nocy letniej.

Szła z jenerałową, jak była w jej bieliźnie... ale cała jeszcze cuchnąca krwią cudzą umazana... dygocąca z zimna... cała w dreszczach febrycznych... a z gorączką na ustach...

Poganiane przez kilku zbiorów, ślaniały się obie, wlokąc się powoli poprzez ulice puste, księżycem wybielone.

Szły tak już długo, gdy naraz naprzeciwko siebie ujrzały pochód wojskowy: to szła ku nim gromadka ludzka... otoczona błyszczącymi bagnietami i szablami... Zgrzytały łańcuchy skutych więźniów.

Z rozmowy żołdaków eskortujących kobiety dowiedziały się, że kondukt powoli zbliżający się ku nim: z nierza na miejsce rozstrzelania.

Obie w tej chwili uczuły, jak są bliskie tamtym w łańcuchach.

One obie, prowadzone w tej chwili do więzienia – może za kilka dni będą podobnie odbywały drogę pod bagnietami na miejsce swojej kaźni.

Wśród tego zbliżyły się do wojskowego kowrodo i zrównały się z nim.

Blask miesięczny oświecił jasno wszystkie twarze skazańców.

Naraz jenerałowa krzyknęła przeraźliwie... Zostawiając Izę samą... zerwała się z miejsca... i rzuciła się w stronę ostrych bagnietów.

– Paweł! mój Paweł! – jęczała, roztrzącając strażę... aż zawisała na szyi swego męża.

## V.

Miasło leżało na jednostajnej równinie. Ale tuż nad niem sterczała góra wysoka. Dostęp na nią łatwy był od strony miasta, oraz od lasów sąsiednich, przepastnych.

Od tyłu zato, gdzie zbiegały się dwie rzeki, było urwisko skaliste, z którego krawędzi tylko spaść można było na dół z wysokości kilkunastu pięt... wprost w fale spienione... wzburzone nad bezdennymi wirami.

To też za dobrą strażnicę służyło to wzgórze dla miasta. A nie małą rolę wciąż odgrywać musiało w partyzanckiej wojny domowej białych z czerwonymi.

I teraz na szczycie stała cała bateria artylerijska w wiecznym pogotowiu, mimo, iż sprawdzono, iż nigdzie w pobliżu nie było ani śladu nieprzyjaciela.

Co dopiero wróciły rekonesanse z głębi lasów – zadowolone, że przeszukały wszystkie kąty i nie odkryły nic niebezpiecznego.

Tymczasem nocą – właśnie z tych lasów – wyrósł jak z pod ziemi podjazd nieprzyjacielski i cichaczem dostał się na samą górę, gdzie widocznie obsługa przy działach nie musiała zbyt czuwać, skoro jeźdźcy wyróżnili ją całą – od pikiet aż do dowódcy – i sami przy armatach stanęli.

Cóż za zdumienie ogarnęło wojskowych i cywilnych, gdy naraz o świcie odezwał się silny ogień działowy ze szczytu góry, na miasto właśnie kierowany.

Pod gradem pocisków powstał popłoch, bo nic nie rozumiano, co się dzieje – i nie wiadano, co z sobą począć.

Cała załoga, postawiona na nogi, mimo wielkiej dezercji wobec panicznego strachu, rzuciła się do ataku – i bez trudu do południa zdobyła górę.

Dla nieprzyjaciela nie było wyjścia nigdzie. To też zginęli wszyscy... do ostatniego... ranni... postrzeleni... wraz z koniami... waląc się ze skalistą krawędzią w przepaść... A kule szły za nimi i dalej... w wodę.

Wieczorem miejscowa gazeta urzędowa opowiadała o ogromnych wojskach w pień wybitych – i o wielkim zwycięstwie nad nimi odniesionem. Wprawdzie wśród cywilnej ludności przebąkiwano półgłębkiem, że nie było tam więcej nad kilkunastu jeźdźców, ale zato wojskowi tryumfowali głośno; żołnierz bowiem zdążył sobie podpić – rozgromiwszy w godzinach największego zamieszania duże magazyny ze spirytusem.

Gdy wieczór zaszedł, cała załoga spała, bez względu na wydane surowe rozkazy czuwania – i na rozstawienie pikiet na kresach ogrodu.

Około północy, że strony przeciwnej niż w noc ubiegłą, zjawili się kilka podjazdów nieprzyjacielskich i wprost ze stepów dostało się na przedmieście, którego biali byli zawsze najpewniejsi.

Toteż grupkom jeźdźców udało się w niepostrzeżeniu przejechać nawskróś całą dzielnicę. Zatrzymali się dopiero na ogromnym placu, który to przedmieście dzielił od środka miasta. Ruchy ich były błyskawiczne, a zagadkowo ciche.

Stały tu dwa kompleksy gmachów: jeden – to dawna szkoła kadecka, drugi – dawne koszary kawaleryjskie.

W obie strony rzucili się jeźdźcy i w jednej chwili znaleźli się w obrębie murów, nigdzie nie dając ani jednego wystrzału.

Za to szable ich były bez przerwy w robocie.

Cięli niemi na wszystkie strony, wyrzynając całe kompanie ludzkie, śpiące pokotem.

Krwia zabрызgała wszystkie ściany i podłogi... wszystkie bruki i mury dziedzińców... a jedna ręka jeszcze nie zdołała się podnieść na obronę... jedna kula nie gwizdnęła z za węglą.

Cisza...

Tylko się opar krwawy podniósł i majaczył tu i tam... i w ciszy krzychał okrutną mową krwi...

Kiedy im się tu powiodło, popędzili ku miastu. Przelatywali ulice jak wichry. Spotykali patroli, ale nikt ich nie zatrzymywał: wszak mieli dla niepoznaki ogromne kokardy czerwone.

Już nową rzeź sprawili w szlabach... już więzienie otwarli jedno, drugie... A jeszcze w mieście nie było alarmu.

Właśnie ktoś zbudził Izę, która z wielkiego znużenia zapadła w sen ciężki. Nie mogła teraz pojąć, o co idzie... Rzucała naprzemian imiona to Edwarda, to Zygmunta, z którymi spędzała przed kilkoma godzinami długie chwile na tajemnej rozmowie.

Ale kiedy wszystkie jej towarzyszkę mimo nocnej pory jęły rozmawiać głośno między sobą i jedna za drugą wybiegać z otwartej celi, Iza ocknęła się do reszty – i zrozumiała.

Szarpnęła za ramię jenerałową, ale ta bezsilnie opadła na barlog więzienny.

Iza wybiegła na korytarz i śnać dostawszy tam języka, wróciła pośpiesznie do celi.

– Maryo! Maryo... uchodźmy – nawoływała. – Jesteśmy wolne... Biali otwarli więzienia... Podobno odsiecz zdobyła już miasto...

Gwałtem uprowadziła jenerałową; za chwilę znalazły się na dole.

Świtało już i w rozbrzaskach dniach spsirzegli się na podwórzu, jak obie wyglądają. Zawahały się, czy mogą tak wyjść na miasto.

Mimo wszelkich próśb, jeszcze Izie nie pozwolono dotychczas wyjść z celi i obmyć się z krwi, którą była cała umazana.

Teraz zwróciły się do mieszkania kogoś ze służby więziennej, gdzie okazano im niemało życzliwości. I tam bowiem radość była na myśl o pozbyciu się tyranów, którzy, wmawiając w lud, że są obrońcami jego wolności, ujęli gwałtem w ręce władzę i panowali przemocą – mimo, że ich nikt nie chciał.

Jakaś kobieta zaprowadziła Izę i Maryę do izby, w której zastały całe stosy ubrań kobiecych. Była bielizna... i suknie i okrycia były, a wszystko pochodziło od osób ze sfer zamożnych... inteligentnych.

– Właścicielki już ziemię gryzą – szepnęła nad niemi głosem, w którym było prawdziwe wzruszenie... – Za dni kilka wybieście obie poszły były także ich śladem. Tylko, że z was nie było co zdejmować... Odziewajcie się w co chcecie. To niczyje... To bardziej wasze, niż nasze. Wybierajcie dowolnie...

I wybrały coś niecoś z rzeczy – najskromniejszych, jakie mogły znaleźć.

Iza poszła się myć. Myła się już pół godziny i jeszcze o ciepłą wodę prosiła... bo tej krwi żołdackiej zmyć ze swego ciała nie mogła.

A wtem zadudniły mury więzienne, zaryczały działa nad miastem. Kazano im się śpieszyć, więc co żywo przebrały się, mimo, że przy tej robocie słaby z braku sił.

– Wszak myśmy od paru dni nic nie jadły.

Złutowano się nad niemi i nakarmiono. A kiedy miały odchodzić i wspomniały, że właściwie nie wiedzą, dokąd pójść mają, dano im jeszcze woreczek z jedzeniem na drogę.

Z progu zawróciła Marya i ze Izami w oczach zaczęła się dopytywać, gdzie trącą mężczyźni, skazanych na rozstrzelanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).